

— Trzy miesiące — powtórzył baron znowu mocno wzruszony — tak, tak!... trzy miesiące...

Właśnie dziś upłynęło ośm tygodni, jak Zofia została jego żoną.

Marczak nie zapisał chorej żadnego lekarstwa, zalecił tylko pilną uwagę na jej moralne usposobienie, dużo niemęczącego zbytecznie ruchu i wyjazd z Warszawy. Rozstając się z Korfem, rzekł znowu:

— Raz jeszcze winszuję szczęśliwemu mężowi i wkrótce... szczęśliwemu ojcu.

Poczem zbiegł żwawo po schodach, wsiał do czekającego nań powozu, aby w dalszym ciągu oddawać wizyty liczny swoim pacyentom.

W pierwszej chwili baron nie śmiał powrócić do żony. Czuł, że gotów jest popełnić jakieś straszne i zgubne w skutkach swych szaleństwo, że wrodzona mu gwałtowność uniesie go i wyprowadzi ze zdobytego siłą woli spokoju. Och, ta kobieta, którą czcił jak świętą!... która tak bezwzględnie i z taką srogością odpychała jego miłość!... należała do innego... do innego! A on uwierzył w niezręcznie ułożoną anegdotę o rywalu, który umarł i któremu ona po jego śmierci wierność dochować pragnie!

— Och, jakież ze mnie głupiec!... och! i jakież ja jestem nieszczęśliwy!

Łzy puściły mu się z oczu i uspokoiły nieco... ułagodziły go nawet poniekąd.

Udał się do pokoju Zofii.

Jak wryty, zdjęty przerażeniem, zatrzymał się na progu, ona bowiem stała ubrana w jedną ze swych dawnych, skromnych, panieńskich sukienek i drżącymi od wzruszenia rękami wkładała kapelusz na głowę. Serce mu się ścisnęło gwałtownie na ten widok.

— Co pani robi? — zawołał.

— Byłabym już się oddaliła — odpowiedziała — gdybym nie sądziła, że powinnam czekać na pańskie rozkazy. Wiem, że do niego należę; rozporządzaj mną więc, jak zechcesz. Zabij mnie lub wypędź... Nie mogę dłużej obecnością moją hańbić twojego domu!

Mówiła cicho, zaledwie poruszając zbladłe wargi. Stała nieruchoma, oczekująca na wybuch gniewu barona.

On chwiał się na nogach.

— Zabić cię! Ja miałbym cię zabić?! Ależ ja cię ubóstwiam i na klęczkach chciałbym służyć ci całe życie!... O mój Boże! mój Boże! jaki ja jestem nieszczęśliwy!

Upadł na krzesło i łkał, zakrywając twarz rękami.

— Zatem żegnam pana. Nie mogę dłużej tu pozostać i narzucać mu ojcostwa dziecka, przyjsz mającego na świat... a które nie jest mojem... o istnieniu którego, przysięgam ci, przed chwilą jeszcze nie wiedziałam sama... Jeśli winną jestem względem pana, jeśli cię oszukałam ohydnie, to uczyniłam to, chciej mi wierzyć, z nieświadomością bezwzględną... Żegnam pana!

On powstał i pochwycił ręce Zofii w swoje dłonie.

— Chcesz mnie porzucić?! pozbawić jedynej nadziei, że mogę jeszcze być szczęśliwym?!... Nie, nigdy nie pozwolę opuścić mego domu! Zofio! zapomnijmy o wszystkim, co nas po dziś dzień rozdzielało... i o wszystkim, co nas kiedykolwiek w przyszłości rozdzielić może... Wszakże przyznasz się do winy?... Ja zaś bez żadnej złości i ukrytej myśli przebaczam ci całem sercem... Ach! kochaj mnie... nie tak, jak ja ciebie kocham... bo wiem, że to rzecz niemożliwa... lecz tylko z tklivem poddaniem się, z odrobiną wdzięczności tylko... Kochaj mnie, a dla dziecięcia, które nosisz w swoim łonie, będę zawsze dobrym... będę mu okazywać ojcowskie przywiązanie... Muszę bardzo kochać, jeśli jestem w stanie poniżyć się do tego stopnia wobec ciebie!

V.

M a t k a.

Zofia oburzona, odepchnęła go od siebie.

— Nigdy, panie! nigdy! Zabij mnie, bo przyznaję, że jestem występna... Żądam separacji. Zgodzę się na nią chętnie, przyjmując, jak mi to obowią-

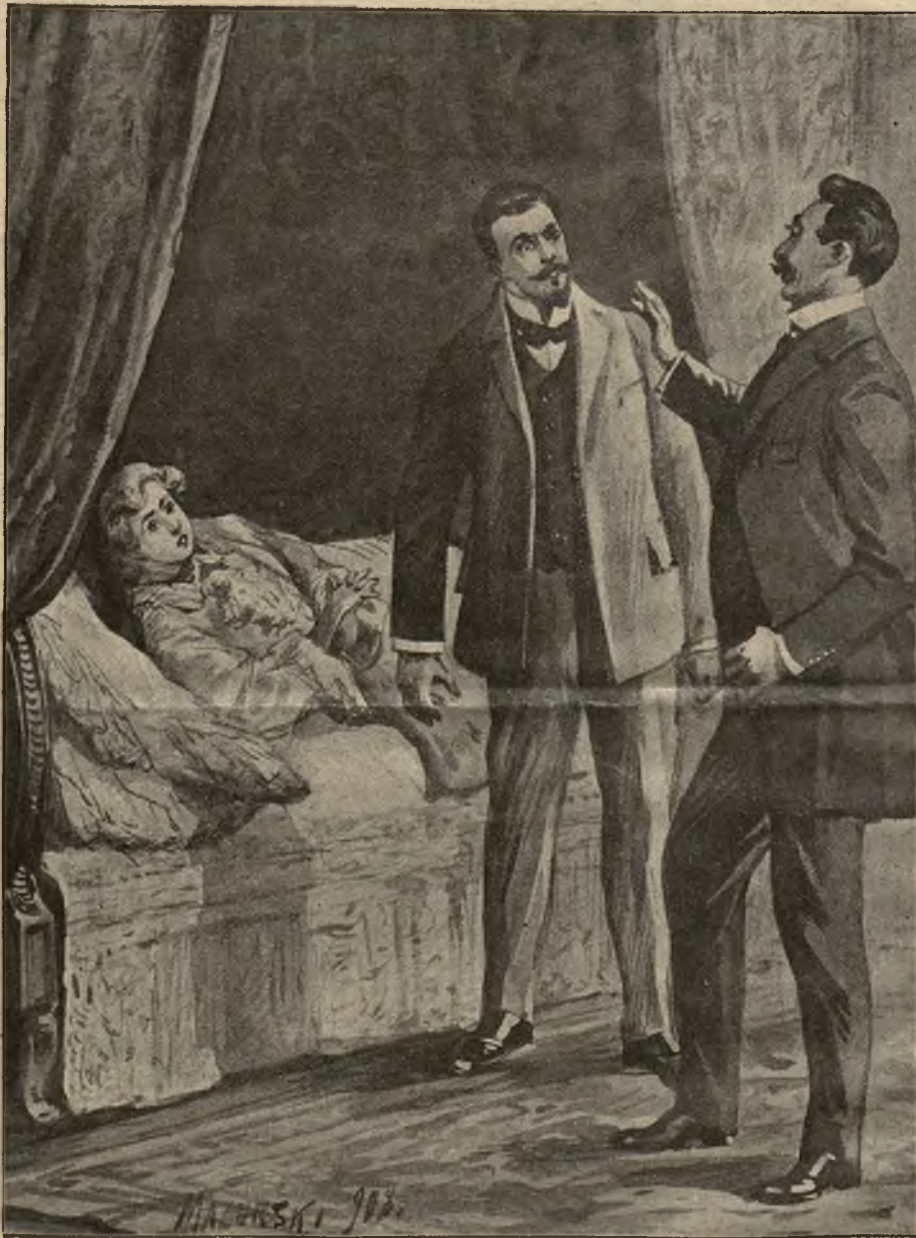
zek nakazuje, całą winę i odpowiedzialność na siebie... Uczynię wszystko, co zechcesz, tylko siebie samej zbezczeszczyć nie pozwolę! Jak pan przypuszczać może, że z ramion człowieka, którego kochałam, rzucę się w ramiona...

— Tego, którego nienawidzisz, którym pogardzasz? — przerwał Korf, a oczy jego zapłonęły wściekłością.

— Ja pana nie nienawidzę i nie pogardzam panem. Przysięgam ci przyjaźń moją i tę dałam ci uczciwie...

— Tak jak psu rzuca się kość do gryzienia. — Śmiał się szyderczo. Straszliwy gniew nim miotał.

— Jak pani może pod pozorami dziewiczej czystości i niewinności ukrywać tak wielką przewrotność i zepsucie! A ja ci wierzyłem... wierzyłem, że ulegam kaprysowi dziewczęcemu... Kaprysowi, dającemu się usprawiedliwić poniekąd, bo w niezmiernym pośpiechu wydano ci zamaż wbrew twojej woli... bo wydano ci za człowieka, którego nie kochałaś. Człowiek ten rozumiał, że ma po-



Nie ma czem niepokoić się dzisiaj — rzekł lekarz do barona. —

woli zaskarbiać sobie twoją miłość... Więc czekałem lojalnie, jak pani mówi zwykle, uczciwie. Przez myśl mi nie przeszło, że możesz zapomnieć o swoich obowiązkach. Tak wierzyłem, tak bezwzględnie ci ufałem!... Ale ja byłem tylko dobrym przyjacielem i wygodnym mężem, mogącym przydać się jedynie do wydzwignięcia z nędzy upadłej rodziny i do skapania jej w mojem złocie! Pani zaś... pani korzystała z zupełnej swobody, jaką ci pozostawiłem, żeby kogo innego obdarzać pieczęcią i miłością... miłością, której cię zaledwie wystarczyłoby mi do szczęścia!

— Pan nie wierzy w to, co mówisz! Pan temu wierzyć nie możesz! — zawołała Zofia przejęta wstrętem. Nie, nie! nie podobna, abyś nie wierzył mojemu słownu!... Oświadczam, że jeśli jako panna w chwilowym obłądzeniu, z którego sobie nie zdaję sprawy, zapomniałam o mojej godności osobistej i o tem, co winna jestem memu urodzeniu i nazwisku, jako żona barona Korfa nie mam sobie nic do wyrzucenia. Gdybyś wątpił o tem, wątpliwość pańską uważałabym za swoją obelgę, po której nieby mnie powstrzymać nie zdołało od opuszczenia natychmiast twojego domu!

— Żeby pospieszyć do swego kochanka, nieprawdaż?

— Mego... mego kochanka! — powtórzyła Zofia, boleśnie dotknięta brutalnością jego tonu i wyrazu.

— O! — zawołał Korf, wskazując na kibić młodej kobiety — wszakże nie ja pozostawiłem pani zbyt już teraz widoczny zadatek mojej miłości... tego zaś, który nim panią obdarzył, nie mogę inaczej nazwać, jak twoim kochankiem!... Zresztą zgadzam się na to, że byłeś mi dotąd wierną żoną! Dwa miesiące wierności rzecz niezwykle piękna, uczciwa i rozcudzająca!... Lecz przyznaj, że w chwili właśnie, gdy zgadzałaś się zostać moją żoną, kochałaś innego... i skłamałaś, zapewniając mnie, że umarł!... Słuchaj, gdy obecnie myślą skołatana zestawiam różne daty z niezbyt odległej przeszłości, nabieram przekonania, że należałaś do niego już w wilię dnia, w którym przyjął mnie w Sielance i wówczas prawdopodobnie zostałaś matką... Boże mój, Boże! więc takie potworności dźiać się mogą w waszym świecie! Pojmowałbym błąd podobny, popełniony przez mężatkę, lecz nie przez młodą panienkę z dobrego domu... Miałas kochanka, a oddałaś mi swoją rękę, bo potrzebowaliście pieniędzy. O, raso przeżyta i skarlała! nie warci jesteście nawet odrobiny litości...

Już nie panował nad sobą. Krzyczał głosem zdławionym i wygrażał pięściami. Ona jękała zgnębiona:

— Nie mogę odpowiadać panu na zarzuty... bo byś mnie chyba nie zrozumiał...

— A ja rozumiem jedną rzecz tylko obecnie, że między panią a mną stoi jakiś człowiek! Żadasz, żebym ci rozkazywał i oświadczasz, że gotowa jesteś mnie usłuchać, powiedz mi zatem nazwisko tego człowieka, a będę mieć zupełną satysfakcję. Przyśięgam ci, że jeśli mnie on nie położy trupem, to ja go napewno zabiję... Milczysz? Nie śmiesz mi teraz stawić czoła, bo drżysz i lękasz się o niego! Czy sądzisz, że nie obejdę się bez ciebie i nie zdołam go sam wyszukać?! Ależ tydzień nawet nie upłynie, a już będę mógł ci donieść, że kula mego pistoletu przeszła mu serce...

Zofia podobną była do biednego listka, zerwanego z drzewa i targanego burzą. Nie wątpiła, że Korf przy pomocy Karola odkryje miejsce zamieszkania Zygmunta, którego sama nie potrafiła odnaleźć. W jednej chwili zgorączkowana wyobrażenia przedstawiała jej: męża znieważającego ukochanego. Ten zaś pomimo osłabienia, pomimo ran ledwie zagonionych przyjmuje wyzwanie i staje do walki stokroć dla niego niebezpieczniejszej od tej, jaką stoczył z jej bratem. Więc, żeby go obronić — wyobrażała sobie bowiem, że go istotnie chroni od śmierci — ośmieliła się skłamać:

— Nie można pojedynkować się z umarłym. Bądź co bądź pomimo krzywdy, jaką panu mimowolnie wyrządziłam, sądzę, że mam prawo wymagać, abyś nie przedłużał sceny nazbyt dla mnie przykrej. Zmuszasz mnie do powtórzenia, że nie przyzwyczajono mnie do tak grubiańskiego obchodzenia się ze mną i do takich strasznych wybuchów gwałtowności. Oszczędzałaś mnie w ciągu dwóch miesięcy, a ja byłem ci za to wdzięczną... bo jeśli w rzeczy samej mamy jedno przy drugim spędzić życie całe, to sceny do dzisiejszej podobne nie powinny się powielać... Nie mam dość sił do ich znoszenia.

Podniosła nieco ton głosu, który mimo jej woli, stał się lekceważący i niemal pogardliwy. Czuła, że już zniosła za wiele, że dziedziczka wielkiego imienia i starej tradycji rodzinnej, ofiara szlachetnego poświęcenia, nie może pozwolić na dłuższe znieważanie swojej osoby przez dorobkiewiczza, nie umiejącego uszanować kobiety nieszczęśliwej, a zarazem niezdolnego utrzymać w słusznym zresztą gniewie należytej miary. Oczekiwała więc na ostateczny, krańcowy wybuch uniesienia męża, aby wskutek tego uniesienia mieć prawo dom opuścić i porzucić Korfa na zawsze... lecz zmacona myśl barona uczepliła się obecnie wyrazów: „Nie można pojedynkować się z umarłym“.

(Ciąg dalszy nastąpi).